ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Lipca. № 28. Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. N. 23. 24. 25. 26. 27. Rozmaitości.)

Ta uwaga mojego wuja wydała mi się obrazą młodéj dziewczyny, któréj wstydliwa skromność właśnie najbardziéj mię ujęła, i przestałem być panem siebie. W téj saméj chwili, gdy w sercu mojém ozwały się te żywe wrażenia, jakich doznałem wczoraj, powstała w niém oraz pogarda dla starca, który ceniąc tylko majątek i stopień zdawał się zapoznawać święty urok niewinności i zachęcać mię do haniebnego jéj znieważenia.

— „Mój wuju," — rzekłem z zapałem — „obrażasz dziewicę szlachetną i cnotliwą.... dziécię niewinniejsze niż sądzisz może, i godniejsze szacunku niż wszystkie te, które mi podajesz do wyboru, i stokroć prędzéj ofiarowałbym jéj moją rękę, niż ośmielił się ją uwodzić!..."

— „Mniejsza o to, nieuwodź jéj, ale ożeń się z inną."

— „Dla czego? kiedy nieczuję dla niéj najmniejszéj skłonności, kiedy serce moje zwraca się gdzie indziéj? Przypominasz mi, panie, mój stopień i jestem nim znudzony; mój majątek.... to właśnie powinno mojém zdaniem zapewnić mi tém większą wolność w wyborze mojéj małżonki. A zresztą, jeżlibym w téj osobie bez majątku i bez imienia, w téj wzgardzonéj dziewczynie, w tém stworzeniu nakoniec, znalazł prawdziwą piękność, cnotę i tysiące przymiotów godnych równie mego szacunku jak i mojéj miłości.... któżby mi wzbronił iść za szlachetném natchnieniem mego serca?... ktoby śmiał ganić, żem pragnął podzielić mój majątek z jéj ubóstwem, wspiérać jéj słabość moją siłą, dać jéj imię, jeżli niéma swego i zasadzać na tych szlachetnych i zacnych warunkach szczęście nierównie trwalsze, prawdziwsze i lepiéj zasłużone, niż wszelkie inne, jakiego mógłbym się spodziéwać po zgodności kilku czczych i zwodniczych formułek?.... Ach! mój wuju, jabym rad miéć siłę po temu; chciałbym być choć cokolwiek mniéj wycieńczonym, mniéj zepsutym zasadami świata, w którym żyję, mniéj skrępowanym tysiącznemi więzy, które mię gniotą i wstrzymują wbrew memu przekonaniu, a potrafiłbym w końcu znaleźć szczęście u boku téj skro-

mnéj towarzyszki, która teraz jest przedmiotem twéj pogardy i twego szyderstwa!“

— „Prawisz do zadziwienia, ale niestety jak głupiec. Podobne zdania — kiedy już spowszedniały! W romansach to ujdzie jeszcze, ale w życiu największa niedorzeczność. Gdybyś kiedy popełnił takie głupstwo, pamiętaj, że tylko swoim majątkiem się podzielisz, ale nie moim. Nie dla tegom go zbiérał, pomnażał, pilnował, by oddać w ręce piérwszéj lepszéj gryzetki, by go użyć właśnie do zrządzenia upadku rodziny i marnować na utrzymanie szubrawców, z którymi raczysz mię spokrewnić.“

Podobne słowa niemogły mię bynajmniéj uspokoić i dla tego odrzekłem natychmiast z mocném postanowieniem:

— „W téj chwili, mój wuju, niemyślę wcale o tém, by się żenić, ale spodziéwam się, że będę mógł uczynić to swobodnie, jak i kiedy mi się podoba, choćby nawet z tą młodą osobą, którą pogardzasz, nieznając jéj wcale. Nic słuszniejszego nadto, mój wuju, bym w takim razie wyrzekł się wszelkiéj nadziei co do twéj spuścizny. Zatrzymaj ją, a mnie zostaw moją wolę i prawo rozrządzania sobą. Niech to jednak niezmienia w niczém wzajemnéj naszéj życzliwości. Co do mnie, zapewniam cię, kochany wuju, że będę cię nierównie więcéj szacował, gdy przestaniesz troszczyć się moim losem, gdy niebędę potrzebował przymuszać się do oszczędzania zdań twoich, których wcale niepodzielam; jedném słowem, gdy będę tylko twym synowcem, który cię kocha, nie zaś twym dziedzicem, który się lęka ciebie i sprzeciwia tobie.“

Gdym wymawiał te słowa, przybrała twarz mego wuja wyraz najgwałtowniejszego gniewu i goryczy. Jego zniweczone plany, zapoznane życzenia, wzgardzone dobrodziejstwa, wszystko to połączone razem przywiodło go do takiego stanu oburzenia i pomieszania, że bladł i czerwieniał na przemian.

— „Ha! do tego chciałeś doprowadzić?“ — wybuchnął w końcu; — „moja dobroć naprzykrzyła ci się, moje jarzmo cię gniotło? I chciałeś przeto w najlepszéj przyjaźni pozbyć się moich rad, moich starań, mych dobrodziejstw! Doskonale! Rozumiem cię. Ale nic z tego, mój panie; pożegnaj się zarówno z moją przyjaźnią jak i z moim majątkiem; i jedno i drugie nienależy już do ciebie, i nicobchodzi mię wcale. Żegnam pana.“

Po tych słowach wyszedł, a ja odprowadziwszy go kilka kroków wróciłem do mego pokoju.

IV.

Czytelniku, niezasnąłeś jeszcze z nudów? Cóż myślisz o mojém postępowaniu? Komu przyznajesz słuszność, czy mnie czy memu wujowi? Powiem ci to zaraz.

To jest, mógłbym ci to powiedzieć, gdybyś mię piérwéj uwiadomił o twoim stanie i wieku, czyś kobiéta, czy mężczyzna; młodzieniec czy dziewica.

A nawet dośćby mi było wiedzieć, żeś młody, bym mógł pochlebiać sobie, że trzymasz moją stronę; nie dla tego,

jakoby mój postępek był zbyt roztropny albo mądry, ale właśnie dla tego, z czém nietaję się wcale, że ma za sobą tę nierozważną szlachetność, tę wspaniałomyślność bezwzględną, słowem to, co traci już swój urok, gdy doświadczenie wieku zaostrzy rozsądek a oziębi serce. Młody przyjacielu lub przyjaciółko! — jeźli się mylę, zostawcie mię w moim błędzie; on mi bardzo miły; jeźli zaś odgadłem dobrze, niech to niebędzie przyczyną twego odczarowania! Dość wcześnie ubieży cię rozsądek, dość wcześnie nauczysz się rozumować; jedno doświadczenie gorzkie, a stępiałe namiętności twoje przestaną czerpać zapału z uczuć szlachetnych zostawiając wolne pole surowym naukom rozumu, interesu i przesądów.

Jeźli zaś jesteś stary i nieszczęśliwy do tego stopnia, że z dawnych skarbów życia, ze złotych dni młodości niepozostało ci nic prócz rozsądku i rozdartego serca, które niegdyś było gorące i szlachetne, to jestem pewny, że z politowaniem zarzucisz mi nierozsądek, ale mimo to podasz twoją drżącą rękę; twój uśmiech zachęca mię; wbrew twéj mądrości przyznaje mi słuszność wyraz twéj twarzy, a twój szacunek jest moją nagrodą. Poczciwy starcze! znam ciebie dobrze; wiem, że będziesz czytał tę powieść.... gań ją bez obawy; ja czytam w twéj szanownéj twarzy więcéj żalu niż niechęci, więcéj pochwały niż nagany.

Ale jeźli z chłodem twego wieku łączy się egoizm charakteru lub stanu, chciwość lub przesądy; jeźli każdego czasu umiałeś korzystać z chwili dla przyszłości i przenosiłeś zawsze pewność dostatków nad wątpliwe skutki nierozsądnéj szlachetności; jeźli nigdy zapał uczucia nieprzedarł powłoki twéj próżności.... wówczas zimny mędrcze! wiem, że trzymasz stronę mego wuja; wiem, że potępisz tego, który wyrzekł się spuścizny, a to tém bardziéj, iż ujęty wdziękami dziewczyny, niemającéj za sobą nic prócz piękności i prostoty, zapoznaje swoją godność i pragnie się poniżyć.

Co do mnie, niedoznawałem z początku żadnego innego uczucia prócz radości, żem stargał moje więzy, i wróciłem do pokoju pełen swobody i życia. Wyznaję, że rozmyślając o uczuciach, które mi natchnęły taką odpowiedź, uczuwałem zarazem niejaką dumę obok méj radości, a chociaż co do méj pięknéj nieznajoméj, w któréj obronie stawałem, niepowziąłem jeszcze żadnego zamiaru, cieszyło mię to przecież, żem miał odwagę mówić i działać z jéj przyczyny z takim zapałem, jak gdyby mi najwięcéj zależało na niéj. Ale pomału zaczęły jeszcze inne uczucia odzywać się w mém sercu: pozbyłem się mego jarzma; mój los zależał już teraz ode mnie; byłem wolny i myśl ta upajała mą duszę. Mój skromny majątek, który dotąd uważałem zawsze za źródło tymczasowych rozkoszy, nabrał nagle wartości w moich oczach; uznałem w nim rzeczywisty skarb, który od téj chwili stał się dla mnie szacownym i drogim. Mogłem przynajmniéj rozrządzać nim podług upodobania, podzielić go z kim zechcę; pragnąłem go powiększyć, i zamiast owéj gnuśnéj nieczynności, w jakiéj mię wy-

chowano, dozwalała mi rozbudzona ambicya myśléć bez wstrętu o pożytecznych zabiegach i potrzebie pracy. I mimowolnie pod wpływem tych myśli, które rozbudziło we mnie uczucie własności, położyłem na miejscu moje szczypce od ognia, uporządkowałem me narzędzia do golenia i spoglądając z przyjemnością dokoła mego pokoju, znachodziłem w każdéj rzeczy, w każdym meblu, zupełnie nową dla mnie wartość. Wnet też ujęty piérwszym urokiem życia domowego, zacząłem innèm okiem spoglądać na mego sługę Jakóba, postanowiłem go ukształcić i przywiązać do siebie, i oglądając po raz piérwszy w właściwém świetle wszystkie korzyści mego położenia, pragnąłem jak najprędzéj otoczyć się dokoła tém szczęściem, które dawniéj wydawało mi się zbyt dalekie i zawisłe od śmierci mego wuja. Pośród tych nowych wrażeń, śród tego pragnienia rozkoszy domowych, nasuwała mi się od czasu do czasu myśl o towarzyszce, któraby ożywiła samotność mego mieszkania, i wówczas stawał mi zawsze przed oczyma obraz méj młodéj przyjaciółki, z którą przypadek zapoznał mię wczoraj. Nakoniec, jak to często się zdarza, że z najśmieszniejszych przyczyn wynikają najszczęśliwsze skutki, cieszyło mię to najbardziéj w tém nowém położeniu mojém, że niepotrzebowałem tego wieczora iść na herbatę do pani de Luze.

Ztąd poszedłem do wniosków bardzo filozoficznych, bo już-to taka natura ludzka podsuwać pod ogólne prawidła wszelkie nauki doświadczenia prywatnego. Ach! jakże ubolewam nad wami, wy wszyscy, którzy los swój przywiązujecie do spuścizny! Jeżli wasz dobrodziéj nieumrze dość wcześnie, zmarnieją najpiękniejsze lata waszego życia na niewdzięczném i nudném oczekiwaniu; a jeżli dręczeni niecierpliwością posiadania pragniecie jego śmierci, czyliż nawet wtedy, gdy otaczacie go waszą czułością, niegodniście pogardy całego świata? A zresztą jakież to życie? Ukrywać po za maską obłudy wszelkie uczucia naturalne, robić ofiarę z swych skłonności, z swego zdania a często nawet z swéj poczciwości.... Nie, nie, żadnego dziedzictwa! raczéj pracować ciężko, raczéj cierpiéć głód i niedostatek, a żyć wolno, niezawiśle, być panem swéj woli i swego serca; oddać je téj, którą się kocha.... raczéj dziewczynie ubogiéj, cnotliwéj i nieznanéj, która swą czułością i poświęceniem wynagrodzi ofiarę zrobioną dla niéj z powabnego stanu, niż bogini salonowéj, która za szczyptę czułości każe płacić skarbami życia, która szuka raczéj znaczenia niż męża, raczéj pozoru niż miłości, i o któréj serce walczyć trzeba z tysiącem próżności przesądów i niebezpieczeństw wielkiego świata..... Luba przyjaciołko — dodałem z mimowolném uniesieniem — skromna dziewico! Ty, która wydałaś mi się tak łagodną i wstydliwą, tak piękną twą niewinnością i wdziękami; ty, którą trzymałem w mém objęciu z uniesieniem tak żywém, a zarazem tak tkliwém i pełném uszanowania: — dla czegoż miałbym wątpić, że znajdę przy tobie to szczęście, którego urok ty piérwsza nauczyłaś mię czuć i oceniać!....

Tym-to sposobem miłość wywołana urazą, zaczęła rozbudzać się nanowo w mém sercu, czerpiąc otuchę z najczystszego źródła życzliwości, z zapału uczuć prawdziwych i szlachetnych. Po tém żywém uniesieniu nastąpił pewien rodzaj ciekawości względem osoby, która była przedmiotem jego, jak gdybym chciał się zapewnić, czy jéj obyczaje i wychowanie nieodbijałyby może zbyt rażąco od moich, gdybym zapragnął kiedy oświadczyć się o jéj rękę. Wtedy-to rozmaite drobnostki, na które przedtem niezważałem wcale, zaczęły się nasuwać méj pamięci, i mogłem wyprowadzać z nich wcale pożądane wnioski. Kilkakrotnie przechodziła mi na myśl białość jéj delikatnych rąk, których widocznie niedotknęła jeszcze żadna ciężka praca; z przyjemnością przypominałem sobie, że natężenie w czasie pożaru, zbyt silne na jéj słabe ręce, omal jéj nieprzygniotło swym ciężarem, jak gdyby przyzwyczajona do cichego, spokojnego życia, niebyła wstanie znieść mozołu ciężkiéj, natężającéj pracy. Chociaż bardzo mało znałem się na szczegółach stroju kobiécego, jéj ubiór przecież wydał mi się szczególnie gustownym i skromnym, i niemałą wagę przywiązywałem do wspomnienia o jéj zgrabnych nóżkach, odzianych z niejaką starannością w szare, z boku sznurowane buciki. Następnie wracając myślą do jéj pomieszkania, przeglądałem nanowo wszystkie kąty, zatrzymując się przy każdym kosztowniejszym meblu, które zdawały mi się być szczątkami dawnéj zamożności i jakby oznaką pewnéj szlachetności obyczajów. Widziałem na fotelu mantylę z czarnéj materyi jedwabnéj, obszytą futerkiem takiego samego koloru, i z sukni téj, należącéj zapewne do jéj matki, powziąłem korzystne wyobrażenie o powierzchowności i ukształceniu téj kobiéty, przypisując jéj pewien rodzaj szlachetności i poszanowania godnéj prostoty. Ale co najważniejsza przypomniałem sobie, że szukając octu zatrzymał się wzrok mój na stole, gdzie pośród rozrzuconych kartek papieru postrzegłem kilka porządnie oprawnych książek, a w jednéj z nich, otwartéj właśnie w téj chwili, poznałem poemat angielski Thompsona: „O porach roku.“ Rozważając wszystkie te szczegóły i łącząc je z głosem, wymową, zachowaniem, a nadewszystko wstydliwą skromnością méj młodéj przyjaciółki, uzupełniłem stopniowo w najpowabniejszy sposób niedokładny jéj obraz z dnia wczorajszego, i znalazłszy go odpowiednim wszelkim wymaganiom, do jakich usposobiły mię wychowanie moje, gust i zwyczaje arystokratyczne, przekonałem się, że kocham ją teraz sto razy więcéj. Niecierpliwość ujźrzenia jéj jak najprędzéj wzmogła się do najwyższego stopnia, i spoglądałem z niespokojnością na mój zégar, wahając się, czy mimo dość późnéj już godziny wypadało udać się do niéj natychmiast. Jakoż po krótkim namyśle zerwałem się śpiesznie i wyszedłem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. Rozmaitości.)

Scena 7.

Prezes, Dutkiewicz, Sekretarz ukryty.

Prezes.

Tu będziemy sami,
I nikt nam nie przeszkodzi.

Dutkiewicz.

Przysłałeś prezesie,
A więc na rozkaz staję. Na życzeń mych kresie,
Tak stanowczego dla się czekając wyroku,
To o czém myślę, widzę w każdym twoim kroku.
I ten posłaniec do mnie.

Prezes.

Tak. Pan się nie myli:
Spełnienie życzeń pańskich waży się w téj chwili.
To tego, więc pomówić przedewszystkiém chciałem.

Dutkiewicz.

A zatém panna Lidia, jak się spodziewałem...

Prezes.

Tak. Ale.

Dutkiewicz.

Jest *ale*?

Prezes.

A cóż jest bez niego?
To rzecz jest delikatna, widzi pan, *to tego*;
Lidia, tak, bez wątpienia....

Dutkiewicz.

Kontenta, co? ze mnie?

Prezes.

Potwierdzić to byłoby wcale mi przyjemnie.
Nie mogłem sobie życzyć lepszego wyboru,
I mówię szczerze, seryo, tak, słowo honoru,
Że mi to jest przyjemnie. Lecz powiedzieć chciałem:
Że nie jeden ja tylko na Lidią wpływałem.
Nieboszczka siostra moja, kobiéta sercowa,
Dość rzec, aby odgadnąć jaka była głowa;
Owóż, za życia swego wpoiła w nią zdania,
Zasady i pojęcia, pewne przekonania,
Które w potocznym życiu, w naszéj wyższéj sferze
Niepotrzebne, nietrafne, i powiedzieć szczerze,
Nadto gminne. Więc z tego skutki te konieczne,
Że się w niéj dzisiaj ważą dwie natury sprzeczne.
Matki wpływ zrobił z Lidii dziwaczną istotę,
Rozczuloną, marzącą, w uczuciach prostotę,
W sercu karmiącą zapał, w duszy zachwycenia
Nad wszystkiém piękném, dobrém; niedając baczenia:
Czy to piękno i dobro z korzyścią *to tego*?
Ile mogłem, czuwałem, ażeby nic złego
Nie wypłynęło z takich zasad nic do rzeczy;
Starałem się to zniszczyć i miałem na pieczy,
Kształcić młodą osobę według zasad świata,
Jako obywatelska córka i bogata
Być powinna. Przerobić wszystko trudno było:
Co się dało wykształcić, to się wykształciło.
I gdyby nie jéj matki troskliwość fałszywa,
Lidia za mém staraniem byłaby prawdziwa
I doskonała *dama*! Lecz stare nałogi
Sprowadzają ją nieraz z wyższéj sfery drogi;
I czasem, tak, aż przykro, jest istna *kobiéta*,
Którąby cenił tylko głupiec, lub poeta.

Dutkiewicz.

To synonim; lecz proszę....

Prezes.

Przepraszam, że przerwę!
Widzi pan, gdy raz wątek moich myśli zerwę,
Później trudno mi trafić do celu, *to tego*.
Owóż idąc logicznie z założenia swego,
Muszę dojść do wyznania, że nasze zamiary
Mają swą słabą stronę: właśnie te przywary,
Te sercowe, dla których Lidia niezupełnie
Zachwycona przez pana. Tak, jakoś odmiennie
Uważa szczęście swoje, *to tego*.

Dutkiewicz.

Zaiste
Dziwić mi się wypada.

Prezes.

Głupstwo oczywiste!
Ale cóż chcesz marszałku?

Dutkiewicz *(naiwnie).*

Chcę się z nią ożenić.

Prezes.

Zapewne, że jéj zdanie musi się odmienić.
Lecz dziś, dawne nałogi, pamiątki dziecinne,
To tego, tak: zamiary Lidii wcale inne.
Ale można to zwalczyć, lecz nie bez trudności.

Dutkiewicz.

Trudności, dla prezesa?

Prezes.

Nie mam wszechmocności,
A tylko ludzką siłę. Tę zdobyłem sobie
Nie żałnjąc ni zdrowia, ni mienia. W téj dobie
Przez opinią powszechną, przez me położenie,
Wpływ niejaki wywieram.

Dutkiewicz.

A więc się ożenię?

Prezes.

To tego, tak, w méj woli.

Dutkiewiez.

Więc rzeczy skończone?

Prezes.

Niezupełnie, *to tego*. To już dowiedzione,
Że ja żądam, by Lidia była żoną pana;
Lecz, *to tego*, chęć pańska niedobrze mi znana?

Dutkiewicz.

Jakto? Chęć ma nieznana? Ja wiele dam za to?

Prezes *(dobrodusznie).*

A wiele?

Dutkiewicz.

O! i bardzo! Bo jakąż zapłatą
Można okupić szczęście?

Prezes.

Wyliczyć nie trudno.
(po chwili milczenia)
Naprzód zdawać rachunki będzie rzeczą nudną.
Nie wypada w drobnostki wchodzić między nami.

Dutkiewicz *(potakując).*

Nie darmo się rodzimy wielkiemi panami.

Prezes.

Więc z opieki rachunki?...

Dutkiewicz *(wspaniale).*

Na oślep kwituję!

Prezes.

To pięknie; lecz niedosyć. Dobrze pan pojmuje,
Że kiedy wpływ mój panu zyskiwa korzyście,
Wpływ ten, *to tego*, dobry, dobry oczywiście;
Więc pragnę go zachować. Nic pan przeciw tego
Nie ma? To bardzo pięknie, rozumnie, *to tego*;
Ale wpływ bez pieniędzy, to światło księżyca,
Co choć świeci, nie grzeje. Cała okolica
Wié, że moja fortuna na krajn usługi
Poszła. *To tego*, krótko rzecz mówiąc: mam (długi,
Które mi na sumieniu ciężą i na głowie.
O tak! majątek Lidii dzielmy po połowie:
Pan włości z jéj osobą, a ja kapitały.

Dutkiewicz.

Ależ to nie drobnostka, rachunek niemały!

Prezes.

A jużci: małych rzeczy ja nigdy nie robię!

Dutkiewicz.

Drogo, o! bardzo drogo! I ja się sposobię
Na człowieka ze wpływem. A kapitał liczny
Jest, według ekonomii zasad politycznéj,
Dźwignią wszystkiego w świecie. To siła prze- (można!
Pięć kroć, tego na palcach policzyć nie można!

Prezes.

Lecz to mniejsza połowa; trzecia część, *to tego*,
Ściśle biorąc.

(Chwila milczenia. Prezes zimno.)

A zdania nie narzucam mego.
Jest inny, co warunki me przyjmie z radością,
Wiedziony nie rachubą, lecz czystą miłością.
A nawet mi przedstawia moralne korzyście:
Człek ubogi, więc każdy powié oczywiście,
Że ja z postępem idę, gdy za ubogiego
Oddam Lidią, dla zalet moralnych, *to tego*.
Horda nic nie mających będzie mię wynosić
Pod niebiosa, *to tego*, i na rękach nosić!

Dutkiewicz.

Niewytworna to sława.

Prezes.

Ale za to głośna;
U nas rzecz tyle warta, wiele jest donośna!
Czuje pan, że dlań miałem względy niefałszywe;
Choć zrywamy interes, szacunek prawdziwy
Spodziewam się, zostanie?
(podaje rękę Dutkiewiczowi)
Tak?

Dutkiewicz.

Za pozwoleniem:
Gdy się zgodzę z prezesa kosztowném życze-
(niem,
Jakże to się ułoży? Jakże z tamtym będzie?

Prezes.

To także korzyść pana. Stanąwszy z nim w rzę-
(dzie,
Odnieść świetne zwycięztwo, to pięknie, *to tego*;
Nikt nie będzie śmiał wyrzec ani słowa złego.

Dutkiewicz.

Któż to? Czy nie ten Henryk, który coś tam pi-
(sze?

Prezes.

On sam. Lecz ma opinią poety, jak słyszę.
Mówią, że i szlachetny, wzniosły i rozumny,
Więc wziąwszy górę nad nim, możesz pan być
(dumny.

Dutkiewicz.

Ale jak się nie uda?

Prezes.

Rzecz moja, *to tego*:
Sama Lidia da wyrok i ostry na niego.
Przeciw temu nikt zgoła, ręczę, nie powstanie:
Wolny wybór, to w duchu hałastry, mój panie!
A tak, wilk będzie syty i koza w całości.
Co zaś do rachunkowych naszych formalności,
Mój sekretarz, *to tego*, wszystko przygotuje.
Pan podpisze, a raczéj pan mię pokwituje;
Jutro zaś z rana do mnie. Niech pan się nie pyta!
On, harbuza dostanie, pan żonę — i kwita!
Cóż zgoda? No? *To tego*?

Dutkiewicz.

Ha, cóż robić? zgoda!
(Podają sobie ręce i żegnają się.)

Prezes.

Teraz żegnam.
(Marszałek wychodzi.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIECZNA NĘDZA.

Z francuskich powieści dla ludu.

Dawno, dawno już temu, dwóch podróżnych Piotr i Paweł zaskoczeni ulewą, szukali w pewnéj wiosce schronienia przed deszczem. Pukali do jednych drzwi, pukali do drugich, nikt ich przyjąć nie chiał, skromniejsi złorzeczyli, bogatsi nawet naganiali, dopiéro gdzieś za wsią w przysiołku dopytali chałupki a raczéj budy u ostatniego biedaka, co spoczywał na wiechciu słomy. Wołał się gospodarz téj budy „dobry Nędza" bo zwyczaj był w owéj wsi nazywać ludzi po tém co w nich było istotą, ale nie od tego czém się trudnili. Całém utrzymaniem tego Nędzy była jabłoń przed budą, a z któréj właśnie złodziéj najpiękniejsze jabłka poskradał. Dwaj podróżni tknięci biedactwem Nędzy, i wdzięczni za uprzejme przyjęcie, przychylili się do jego życzenia, ażeby mu na przyszłość nikt nie zlazł z jabłoni, komu on sam nie pozwoli. — Piérwszy kto na téj jabłoni usrzągł, był ten sam złodziéj właśnie, który niedawno okradał jabłka. Nędza ujźrzawszy go, ubawił się trzepotem jego i poszedł po chróst do lasu. Ale dwóch sąsiadów zasłyszało, że złodziéj o ratunek wołał, chcieli mu dopomódz, wyleźli na jabłoń i już sami obwiśli. Gdy Nędza powrócił, oswobodził sąsiadów, a złodzieja puścił dopiéro gdy się zaklął, że już więcéj nigdy się jabłoni nie tknie. Ale wkrótce naszła na starca Śmierć; zastanowiło ją, że się jéj Nędza nie zląkł, owszem wesoło przyjął. „Czegoż bym miał się lękać ciebie? mówił, co mi na tym świecie za rozkosz? Czego mi żal, to téj jabłoni tylko, bo mię żywiła; nim z tobą odejdę, ot pozwól urwać z niéj jabłek." Śmierć zezwoliła, i wyszli za próg. Spojźrzał stary Nędza na jabłoń i dopatrzył jakiegoś jabłka na samym krawędziu gałązki; chciałby był dostać, i mówi do Śmierci, pozwól mi, proszę, twojéj kosy niech sobie jabłko odetnę. „Ja mojéj kosy z rąk nie wypuszczam, odpowie Śmierć, ale kiedy chcesz, wyleź." Mnie ustać trudno, a ty chcesz żebym na drzewo się wdrapał, mówi Nędza: „Poczekaj, rzecze Śmierć, już ja ci go sama dostanę", i wyłazi na drzewo, cóż kiedy ztamtąd zleść jéj ni sposób, Co prosi, co grozi, wreszcie w układy. Wszystko na próżno; dzień cały schodził, a tu tysiące biedaków czekało śmierci, ażeby się wybawić. Nakoniec przyrzeka Śmierć dobremu Nędzy, że jeźli zleść pozwoli, nie zagabnie go do dnia sądnego. Na to zgadza się Nędza, i dla tego Nędza dotąd nie umiera. Wprawdzie przechodzi Śmierć czasami popod drzwi nędzy, ale ani zaglądnie, i dopóki tylko świat będzie stać, zostanie w chałupie nędza.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*